

WRÓĆ PRZED PÓŁNOCĄ

EVE CHASE

Czy **mroczne sekrety** z przeszłości
ujrzą światło dzienne?



EVE CHASE

**WRÓCĘ
PRZED
PÓŁNOCĄ**

Przełożył Ryszard Oślizło



TYTUŁ ORYGINAŁU:

The Midnight Hour

Redaktorki prowadzące: Agata Ługowska, Marta Budnik

Wydawczynie: Agnieszka Nowak, Agata Ługowska, Katarzyna Mastowska

Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania

Korekta: Paulina Kawka

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © JeanSebastien, © ysbrandcosijn / Stock.Adobe.com

Zdjęcie na wyklejce: © Rich / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

Copyright © Eve Chase Ltd., 2024

Copyright © 2025 for the Polish edition by Mova an imprint
of Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Ryszard Ośliżko, 2025

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2025

ISBN 978-83-8371-929-0

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



Maggie

Paryż, 22 maja 2019 r.

Wszelkie niebezpieczeństwo z pewnością minęło. Wjeżdżając na rowerze w budzący się paryski poranek, Maggie znów może swobodnie oddychać. Obawiała się tej wczorajszej rocznicy. Ale oto jest po jej drugiej stronie. I ma się dziwnie dobrze. Wie, tak jak inni, którzy przetrwali, że „dobrze” jest wszystkim. Cichym triumfem. Maggie niczego nie bierze za pewnik. Blasku słońca na Sekwanie. Rytmicznego muskania liścia kasztanowca, który utkwiał w przednim kole roweru. Aromatu kawy w powietrzu. Paryża. Życia.

Podnosi się z siodła, staje na pedałach i jedzie szybciej, aż rękawy jej bluzki nadymają się od powietrza o truflowym zapachu rzeki. Duże okulary przeciwsłoneczne – prezent sprawiony sobie na wyprzedaży w Le Bon Marché, coś, na co rzadko się decyduje – zsuwają się z nosa, a ona poprawia je kciukiem. Rower się chwieje.

Chociaż kapryśny i z niepewnymi hamulcami, używany *vélo* Maggie ma idealnie czerwony kolor paryskiej szminki, więc go uwielbia. Podskakująca w przednim koszyku słomiana torba na ramię otwiera się, odsłaniając bagietkę, woniejący camembert i papierową torebkę wypełnioną po brzegi brzoskwiniami, niebezpiecznie balansującymi nad krawędzią i ociekającymi sokiem we wczesnoletnim upale. Maggie wyciąga rękę, by wcisnąć je z powrotem do środka, muska opuszkami palców ich meszkowatą skórę i się wzdryga.

Brzoskwinie. Nagle coś w niej zaskakuje, jak łańcuch niespodziewanie przeskakujący na inny bieg. Kupowała matce brzoskwinie na targu. Zanosila je do domu w brązowej papierowej torbie, która rozpadała się w londyńskiej mżawce. Przez chwilę wyraźnie widzi matkę trzymającą owoc w swoich długich, eleganckich palcach. Jej lekki, pełen oczekiwania uśmiech.

Oszołomiona – bo jak przeszłość może objawić się w torebce brzoskwiń? – Maggie zniemacka skręca w lewo, niemal zderzając się z wyprzedzającym ją rowerzystą. Przez jego wściekły francuski trajkot przebija się dzwonek jej telefonu. Połączenie ucina poczta głosowa. Sekundę później sygnał rozlega się ponownie. Ponieważ Maggie nie jest w stanie zignorować dzwoniącego telefonu – to nerwica zaszczipiona jej przed dwudziestoma laty – gwałtownie hamuje nad brzegiem rzeki, gdzie młodzi i piękni palą i czilują, po czym zaczyna gmerać w torbie. Numer niezidentyfikowany.

– Halo?

– To ja.

Ty. Ten głos – ochrypliwy, londyński – zagłębia się w nią, wykrada powietrze z jej płuc.

– Hej – udaje jej się wykrztusić po chwili, jakby ostatnio rozmawiali przed tygodniem, a nie lata temu.

Od tamtego czasu zmienił numer: Maggie dzwoniła parę razy, żeby się przekonać. Teraz jest zadowolona, że nie zmieniła swojego. Tyle pytań. Czy jest żonaty? Ma dzieci? Czy jeszcze zmieściłby się w tej kracastej flanelowej koszuli, którą Maggie chowa na tyłach szuflady? To wszystko, co jej zostało. Nie ma zdjęć: wtedy ich nie było. Zastanawia się, czy on śni tak jak ona i czy ze snu też wyrывa go ta mroczna fala strachu i tęsknoty.

– Co u ciebie? – pyta on ostrożnie, łagodnie.

W telefonie słyhać miasto – „O Boże, które miasto?” – zgiełk w tle, inne życie, niemożliwie biegnące równoległe do jej własnego.

W połowie nerwowo wyrzucanej z siebie odpowiedzi – umowa na książkę, rozwód, przeprowadzka do Paryża! – Maggie urywa, zszokowana piegam od słońca na trzydziestoosmioletniej dłoni ściskającej kierownicę roweru. Jak, u licha, dożyła tego wieku bez niego?

– Mam ci coś do przekazania, Maggie. – Nie dzwoni towarzysko. Ścisza głos, waha się. – Chodzi o stary dom twojej matki w Notting Hill.

Maggie zalewa fala gorąca. Na nogach jak z waty zsuwa się z roweru, a ten wymyka jej się z rąk, podobnie jak poczucie siebie, które miała jeszcze przed chwilą. Brzoskwinie wyskakują z koszyka.

– Remontuje go jakiś nowy właściciel.

– Rozumiem. – Maggie ze wszystkich sił stara się zachować swoje z trudem wywalczone dorosłe życie. Nie pozwolić, by się rozpadło.

– W styczniu złożono wniosek o pozwolenie na budowę piwnicy. Maggie, nie kontaktowałem się z tobą, bo szczerze mówiąc, nie sądziłem, że dostaną zgodę. Ale... – z trudem przetyka ślinę – ...dostali.

Mogłaby się teraz rozłączyć, zapomnieć o tym. Skupić się na łodziach sunących po srebrnozielonej wodzie. Na zakochanych obejmujących się na Pont Neuf.

– Będą kopać – dodaje, na wypadek gdyby nie zrozumiała implikacji.

Maggie kręci się w głowie. Czuje lekkie odrealnienie, lekkie mdłości. Chociaż wiedziała, że ten dzień może nadejść, z biegiem lat pozwoliła sobie uwierzyć, że tak się nie stanie.

– Jesteś tam?

Maggie szepcze:

– Tak, tak.

Ale część niej już odlatuje, mknie nad Sekwaną i szarymi jak kocięta dachami, jakby coś ciągnęło ją z powrotem do Londynu, jakby próbowała coś odzyskać. Grupa młodych paryżan zerka na nią z rozbawieniem i ciekawością – cóż to za kobieta wśród tur-lających się brzoskwiń? – a ona po raz pierwszy od tygodni czuje się nieuchronnie, topornie angielska.

– Wkrótce, jak tylko dowiem się czegoś więcej, dam ci znać. – Mija chwila. – Jeśli chcesz?

Tak, bardzo by tego chciała. Wiszą na linii, połączeni milczeniem, przyspieszonym oddechem i przerażającym sekretem; żadne z nich nie chce rozłączyć się pierwsze. Potem, z cichym kliknięciem, on znowu znika.

2

Maggie

Notting Hill (Londyn), 21 maja 1998 r.

Ten czwartkowy wieczór zaczął się jak każdy inny. Londyńskie niebo przybierało odcień brudnawo pomarańczowy. Wciąż było ciepło. Siedziałam na parapecie przy szeroko otwartym oknie sypialni, bawiąc się jedną ze szminek w lśniącej złotej oprawce, na zmianę wysuwając ją i chowając, podczas gdy mama fachowo rozprowadzała róż na kościach policzkowych, ledwo zerkając w lustro. Wiedziałam, co będzie dalej. Chrzęst zalotki do rzęs. Zręczne machnięcia szczoteczka do tuszu. Błyszczczyk do ust, lekko wklepywany opuszką palca. Po wielu latach pracy jako modelka moja matka nakładała makijaż równie szybko i sprawnie, jak szef kuchni kroi cebulę. Wyjęła paszminę z szuflady i przyłożyła ją do twarzy.

– Tak czy nie, Maggie, kochanie?

Pokręciłam głową. Uśmiech mojej matki zbladł, rzuciła kaszmirowy szal na krzesło. Poczulałam trochę władzy, a trochę wstydu.

Oczywiście beżowa paszmina (ona opisała ten kolor jako „wielbłądzi”: w jej świecie wszystko nazywało się inaczej) wyglądała na mojej matce przepięknie, podkreślając słoneczny brąz jej oczu. Ale ja nie chciałam, żeby wyglądała przepięknie. Ani żeby gapili się na nią jacyś obcy. Chciałam, żeby została w domu, ubrana w swój stary szlafrok pachnący tostami z masłem.

Znana po prostu jako Dee Dee – wielka gwiazda w latach osiemdziesiątych – mama miała czterdzieści jeden lat, więc w świecie modelingu była prawie dinozaurem. A jednak nieoczekiwanie zaczęła torować sobie drogę powrotu, kiedy jej swojski urok okazał się hitem telewizji śniadaniowej, w której udzielała wskazówek na temat mody oraz – prawdziwa żenada – macierzyństwa. Trwały rozmowy o linii odzieży dziecięcej w sieciówkach i prowadzeniu rubryki o rodzicielstwie w jakimś czasopiśmie. Czuło się, że stoi u progu czegoś ekscytującego. Uwielbiana przez kamery i widzów, odślaniała kulisy naszego życia. Tyle że nic z tego nie było prawdą.

Jej sława odżyła, więc zaczęła nosić większe, ciemniejsze okulary przeciwsłoneczne. Nawet w najbardziej szare dni. Czasami także nisko naciągniętą czapkę z daszkiem. I dużo czerni. Tego wieczoru miała na sobie satynową czarną sukienkę typu slip dress na cienkich ramiączkach. Nucąc bezgłośnie *Gold Dust Woman* razem z Fleetwood Mac – puszczała tę piosenkę przez cały dzień, jak jakiś hymn – rzuciła mi czuły, roztertargiony uśmiech, przechyliła głowę na bok i przeczesła palcami blond włosy, które teraz opadały jej na plecy. Taty nie było od co najmniej sześciu cięć.

Oparta o łuszczącą się ramę okna, odchyliłam się lekko do tyłu, żeby mama podniosła wzrok i ostrzegła mnie: „Uważaj, Maggie”. Nie zrobiła tego, myślami była gdzie indziej, zatopiona we własnym wnętrzu.

Dolatujące z ulicy zapachy – spalin samochodowych, papierosów, kwiatów dzikiej jabłoni, trawki – mieszały się ze stojącymi na maminiej toalecie perfumami w fantazyjnym szklanym flakonie z napisem „Comme des Garçons” (nie pachniały jak żaden chłopak, którego w życiu spotkałam). Od strony wysokich, białych, stiukowych domów szeregowych rozbrzmiewały odgłosy śmiechu, kłótni, śpiewu, psiego szczekania i cichnącego bum-bum wylewającego się z otwartych okien odjeżdżającego auta. W oddali dudnił ruch drogowy na Westway. Nigdy nie było cicho. Za kilka godzin rozlegnie się pobrzękiwanie straganów i targ uliczny na pobliskiej Portobello Road zacznie tętnić gorączkowym rytmem.

Dziewięć miesięcy po przeprowadzce Londyn wciąż nie brzmiał swojsko. Nie czułam się tu jak w domu. Raczej tak, jakbym przyjechała na szkolną wycieczkę do stolicy, po czym autokar odjechał beze mnie.

„Nie utknij w Surrey, serdeńko”, błagała mama. Ale moje serce już tam utknęło. Tęskniłam za nudnymi Home Counties*, rozpaczliwie, obciachowo. Tęskniłam za tatą. I nie chciałam zaczynać wszystkiego od nowa, kiedy mając siedemnaście lat, ledwie zaczęłam cokolwiek.

Gdy zachód słońca zalewał ściany sypialni, mama odwróciła się bokiem do lustra w połączanej ramie i spojrzawszy bojowo na swoją sylwetkę, wygładziła sukienkę na biodrach. Znowu straciła na wadze. Staralam się tym nie przejmować, ale byłam o trzy rozmiary większa od niej. Moja prowincjonalna nijakość – z czupryną nieokiełznanych włosów i okularami – sprawiała, że w Notting Hill czułam się równocześnie niewidzialna i obnażona. „Jesteś cudowna”, upierała się mama. Ja jednak zaczęłam się

* Home Counties – określenie odnoszące się do angielskich hrabstw otaczających Londyn (przyp. tłum.).

zastanawiać, czy aby nie przedstawia mnie „Maggie, moja córka” po to, by rozwiązać wszelkie wątpliwości.

– Mam dwie lewe ręce. Mogłabyś, skarbie? – Mama zniżyła się, żebym dosięgła zapięcia naszyjnika. Jej skóra pod opuszkami moich palców była zaskakująco gorąca, jakby coś w niej płonęło. Rzuciła w lustro ostatnie spojrzenie, dłuższe, prywatne, przypominające, że jest nie tylko moją matką: istniała przede mną i wykraczała poza granice mnie.

– „Na koniec świata...” – Mój braciszek pchnął drzwi i wpadł do pokoju ubrany w kostium umięśnionego Buzza Astrala, ciągnąc za sobą metalową sprężynę slinky, za którą pędziła Nico na swoich krótkich mopsich nóżkach. Hałaśliwy, postrzelony i ładny do tego stopnia, że zwracał uwagę przechodniów, Kit był w ciągłym ruchu, aż kipiał energią. Jego blond loczki były skręcone tak mocno, że można by wtykać w nie palce i bujać nimi jak hula-hoop. A choć miał zaledwie sześć lat, wymowę maminej sukienki potrafił odczytać bezbłędnie, więc stanął jak wryty i ściągnął brwi. – Dlaczego wychodzisz, mamusiu?

Pytanie Kita – dobre z perspektywy czasu – na chwilę zbiło matkę z tropu.

– Dzisiaj dowodzi twoja starsza siostra – odpowiedziała. – Nie patrz tak. – Ucałowała go w czoło. – Będziecie się dobrze bawić.

Oliwkowozielone oczy Kita przeniosły się na mnie. Jej zapewnienie nas nie przekonało.

Mama wyłączyła Stevie Nicks i opuściła okno, pozostawiając je uchylone.

– Bądź grzeczny i słuchaj Maggie, Kit.

– Tak, nie bądź debilem – przetłumaczyłam młodszemu bratu, który potrafił być czymś, co większość ludzi nazwałaby

„krnąbrnym dzieckiem”, a przyjaciele mamy z Notting Hill: „wolnym duchem”.

– Maggie – upomniała mnie mama, przechylając głowę na bok i bawiąc się motylkiem z tyłu koleczka. – Pójdiesz do Blockbusters i wypożyczysz film? Ale obejrzyjcie go razem. Nie że go włączysz i znikniesz w czarnej dziurze swojego pokoju. Proszę. I dopilnuj, żeby umył zęby. Jeden mu się rusza.

Wciąż się jeżyłam, że ustawiła mi randkę z Kitem, zakładając – słusznie zresztą – że nie mam żadnych planów towarzyskich na wieczór. Ani w ogóle. W maju świat skurczył mi się do rozmiarów mojego pokoju. Kuląc się coraz bardziej w sobie, poznałam każdy jego centymetr – każdą luźną deskę podłogową, każdą rurę grzewczą owiniętą folią, ciepłą jak pieczone ziemniaki pod moimi bosymi stopami – ale nie ulice za oknem.

– Dobranoc, słonko. – Mama próbowała przytulić Kita, ale on się odsunął. Mali chłopcy są trochę jak psy. Nienawidzą, gdy się ich zostawia. Mają wyczulony instynkt.

Kit uciekł, ścigany przez Nico, a mama spochmurniała. Zakryła usta dłonią i wpatrywała się w miejsce, gdzie stał przed chwilą.

– Po prostu idź, mammo. – Wstałam, wyplątałam się ze zwiewnych zasłon i rzuciłam szminkę na jej toaletkę. – Naprawdę. Tak będzie łatwiej. – Te słowa miały mnie później prześladować.

– Masz rację, Maggie. – Mama chwyciła szyty na miarę żakiet i luźną, workowatą torbę, po czym wsunęła stopy w baleriny, czarne, pikowane, z białym noskiem w kształcie półksiężyca, buty na niskim obcasie, które wkładała na krótki spacer, a nie szpilki wymagające zamówienia taksówki. Zerknęła na zegarek. – Spóźnię się.

Nie przyszło mi do głowy, żeby zapytać na co. Mama wychodziła i wracała. Zwykle przed północą. Nigdy przesadnie się nad tym nie zastanawiałam.

– Kocham cię, Maggie. – Ujęła moją twarz w miękkie, pachnące kremem dłonie. Na jej obliczu pojawiło się zmartwienie. – Wiesz o tym, prawda?

Przytaknęłam, ale nagle ogarnął mnie lekki niepokój. Jak wtedy, gdy czujesz dym, lecz nie widzisz ognia. Trwało to ledwie sekundę, może dwie. I zaraz się rozwiało.

Wzięłam sobie pikantny romans ze swojej biblioteczki – do podczytywania na kanapie, gdy Kit będzie oglądał film – i zesłałam na dół. Ku mojemu zaskoczeniu drzwi wejściowe wciąż były otwarte, a mama stała na ganku, oparta plecami o jedną z białych kolumn, w kompletnym bezruchu, opuszkami palców dotykając czoła jak aktorka, która zapomniała kwestii. Zaraz poprawił mi się humor. Nadchodził kolejny z jej bólów głowy! Mama wróci do środka, zażyje środek przeciwbólowy i obejrzymy jakiś film, a ja wtulę się w nią, kładąc głowę na jej kolanach. Łup. Drzwi frontowe zatrzęsnęły się za nią. Z wysokich okien salonu patrzyłam, jak idzie – odchylając głowę do tyłu i wysuwając biodra, tym głęboko wpojonym krokiem modelki, jakby mówiła: „Z drogi!” – w kierunku Portobello Road, z włosami skąpanymi w zachodzącym słońcu. I nie obejrzała się za siebie. Ani razu.

Sięgnij po więcej!



 www.mova.com.pl

 facebook.com/wydawnictwo.mova

 instagram.com/wydawnictwomova